

Piotr Kulpa

T.T.

(wyd. Videograf S.A.)

recenzje

Powieść Piotra Kulpy nastęrcza czytelnikowi swoistego kłopotu, gdyż jej najpoważniejszym mankamentem pozostaje swoista „niepowieściowość” – zwłaszcza na płaszczyźnie kompozycyjnej, na której cała historia rozpada się na rozdziały i podrozdziały nierzadko sprawiające na odbiorcy wrażenie nowel z odrębną pointą i własną, osobną logiką. Zarazem jednak sama opowieść przykuwa uwagę, toczy się własnym torem i pozostawia wrażenie niepokoju udanie kreowane mocą niejednoznaczności, dyskretnych sugestii i niedopowiedzeń. Choć historia jest, jak zwykle w przypadku horroru, „dobrze znana” i odwołuje się do konwencjonalnych toposów: trauma dzieciństwa, demony przeszłości, samotność, poczucie opuszczenia, prowincja, która „tumani i przestrasza” – to jednak broni się unikaniem dosłowności, grą iluzji i odwołaniami do dziecięcej fantazji (owszem – dobrze i od dawna już zakorzenionej w horrorze). Raz jeszcze dziecięcy bohater okazuje się katalizatorem niesamowitości, zaś polska prowincja (Piotrków Trybunalski) straszy nie gorzej niż kukurydziane pola Nebraska w powieściach pana Kinga.

Powieść Piotra Kulpy *T.T.* jest najdojrzałszym utworem z tegorocznych nominacji. Nie znaczy to wprawdzie, że jest utworem najlepszym, jednak dystansuje konkurencję pod względem świadomości wykorzystywanych środków językowych oraz formalnych. Nie dziwi to zresztą specjalnie, gdyż autor jest najbardziej doświadczonym z nominowanych twórców. To zauważalne doświadczenie działa zdecydowanie na jego korzyść.

Na niekorzyść natomiast działa egotyczna kreacja bohatera. Paweł Lupka stanowi alter-ego pisarza, podkreślane nie tylko przez anagramowy charakter jego nazwiska, ale również przez ciągłe jego powtarzanie („Paweł Lupka...” to najczęstsze, irytujące w tej częstotliwości, rozpoczęcie akapitów). Autorskie „ja” jest tu silne nie tylko w sensie wyraźnej relacji podmiotów, ale także w sensie symbolicznej siły owego Lupki, którą Kulpa go obdarza. To utalentowany artysta, robiący dobre wrażenie na młodzieży i kobietach, amant, choć nieco odłudek, który nie może dopasować się do społecznych konwencji, przez co nie ma na swoim koncie sukcesów – co jest romantycznym sposobem usprawiedliwiania samego siebie.

Lupka konfrontuje się z wieloma rodzajami demonów. Tylko część z nich należy do rekwizytorium horrorowego. Obok nich znajdują się demony przeszłości, demony podświadomości czy demony eskapizmu, przybierające tę czy inną postać. Wszystko to jest dobre, choć zbyt rozcieńczone niepotrzebnym czasem efekciarstwem, epatowaniem erotyką, która nic do powieści nie wnosi, a jedyne wrażenie, jakie wywołuje, to chybionej prowokacji. *T.T.* czyta się jak powieść autoterapeutyczną o mężczyźnie w kryzysie egzystencjalnym, co nie wydaje mi się szczególnie ciekawe. Literatura grozy może, a nawet powinna, wpływać z autentycznych przeżyć, nie musi jednak, a nawet nie powinna, być fantazmatem na temat własnej wielkości.

Głównym bohaterem powieści jest niejaki Paweł Lupka uciekający na prowincję od problemów rodzinnych i podejmujący pracę w tamtejszej szkole jako nauczyciel przysposobienia do życia w rodzinie (jak na ironię) i wychowawca w szkolnej bursie. Początkowo wydaje się, że mieć będziemy do czynienia ze zwykłą powieścią psychologiczno-obyczajową – protagonista cierpi na kryzys wieku średniego, miota się między rodziną a kochanką (z którą uprawia seks nieco osobliwego rodzaju), obarczony jest też traumą z czasów dzieciństwa (przerażająco konsekwentna matka, która ostatecznie okazuje się osobą niezrównoważoną psychicznie), stopniowo nawiązuje więź ze swoimi wychowanymi. A wszystko to w brudnym, brzydkim, potrzaskanym świecie nieszcześliwych ludzi.

W ten z pozoru zwyczajny, choć niepiękny świat wdziera się najpierw niepokój, potem zaś niesamowitość – aż do sceny na cmentarzu, gdzie Paweł/Piotr przechodzi na drugą stronę rzeczywistości. Kulpa buduje sieć relacji łączących nie tylko obydwie wymiary rzeczywistości, ale także postaci, ich historie, przeszłość i terażniejszość. Mamy więc dwie pary bliźniaków – Tidinka i Tadanka, przyjaciół małego Pawełka, oraz Tomka i Tymka, jego wychowanków – tytułowych *T.T.*; motyw ten zapowiada ostateczne (?) odkrycia Pawła dotyczące jego tożsamości. Powtarza się motyw pożaru – to koszmar senny dręczący Pawła, będący wspomnieniem tego, co ongiś zdarzyło się w domu dziecka, a także zdarzenie z przeszłości Tomka i Tymka, których matka zginęła w płomieniach; motyw ten powróci w scenie w barakach – tu śmierć Tidinka w ogniu ma swój odpowiednik w (prawie)śmierci Tomka w wodzie: niedoszły topielec ratowany przez Piotra/Pawła po tamtej stronie rzeczywistości ma rany po oparzeniach. Następują przebicia między wymiarami świata: to, co dzieje się po drugiej stronie, dzieje się i po tej, choć wygląda inaczej (Bastet – kocica i demoniczna kochanka), dystans między przeszłością a terażniejszością, między rzeczywistością a ułudą zaciera się. Czytelnik znajduje się w świecie ech, lustrzanych odbić, prawej i lewej strony i ostatecznie do niego należy ułożenie go w całość. Finał powieści zbiera wszystkie wątki, jednak nie rozwiewa tajemnicy. W dodatku nazwisko bohatera to anagram nazwiska Autora i obydwaj – jak się ostatecznie okaże – noszą to samo imię, tak więc „bliźniacze” relacje wykraczają poza ramy fikcyjnego świata.

Pojawiają się jednak układy i wątki, które nie do końca wpasowują się w ów obraz rzeczywistości – jak w świat po tej i tamtej stronie wpisują się trzy kobiety,

które łączy jedynie imię? czy imiona żony i córki Pawła/Piotra tylko przypadkowo zaczynają się od tej samej litery? dlaczego to właśnie Szymon Michel (postać przez niemal całą powieść pozostająca poza właściwą akcją) zostanie seksualnie sponiewierany przez niewyżytą Bastet? co zrobić z wątkiem zaginionej Mai? czy i jak istotne jest, że i Lucjan Soldat ma bliźniaczego brata? Sprawia to wrażenie puzzla, do którego zaplątały się elementy z innej układanki – pozostawiające lekki niedosyt.

Do Piotrkowa Trybunalskiego przyjeżdża Paweł Lupka, mężczyzna „z przeszłością”. Zaczyna nowe życie – bez żony i córki, zranionych jego zdradą. Teraz będzie spełniał swoje dawne marzenia: pora „nadrobić stracony czas i odzyskać ideały”, zarzucone po ślubie, po którym „łatwo i wygodnie urządził się na stanowisku załatwionym przez teścia” (s. 18).

Tak narrator Piotra Kulpy zaczyna swoją opowieść: mroczną, pełną tajemnic i niedopowiedzeń, traumy wyniesionej z dzieciństwa. Akcja często toczy się na pograniczu jawy i snu, to, co wydarzyło się kiedyś (czy naprawdę się wydarzyło?) miesza się z tym, co dzieje się teraz: ale czy rzeczywiście „dzieje się”, czy to tylko wyobrażenia albo koszmarnie sny? Zanurzamy się w świat, w którym nic nie jest jednoznaczne, nic nie jest oczywiste i nic nie musi być „rzeczywiste”, nawet jeśli na takie wygląda; granice pomiędzy realnym i nierealnym zacierają się, podobnie jak między przeszłością i terażniejszością. Kulpa całkiem sprawnie buduje na tym nastrój grozy i niepokoju swojej powieści; stwarza atmosferę nieustającego zagrożenia, niepewności. Jest to niewątpliwym plus tego tekstu, podobnie jak kreacja wielu postaci, w tym głównego bohatera: mężczyzny, dla którego praca ma być powrotem do dawnych ideałów, ale już mieszkanie w kamienicy o podejrzaną przeszłość dobrowolną karą za „jego wybryk. Za to, że odważył się przeciwstawić zwyczajom, schematom, stereotypom. Za to, że zapragnął dla siebie zbyt wielkiego szczęścia w świecie, gdzie szczęście należy się tylko nielicznym” (s. 22). Swoją drogą owo szczęście wydaje się polegać głównie na prawa do zdradzania żony, co wydaje się pewnym spłyceciem problemu. Wiąże się z tym jeden z minusów tekstu, mianowicie pretekstowość – w mojej opinii – pewnych wątków i sytuacji. Przy tak skonstruowanej fabule, utrzymanej w konwencji oniryzmu nie widzę fabularnego uzasadnienia na przykład dla szczegółowych opisów scen erotycznych; podobne wątpliwości budzi też wątek związany z Bastet, w tym kara dla zdradzanego męża.

Ciekawa powieść, wyłamująca się z wielu schematów, choć autor sięga też i po dość stereotypowe rozwiązania, jak toksyczni rodzice, tajemnica z przeszłości i związana z tym trauma, pedofilia itd.

Powieść Piotra Kulpy, *T.T.*, jest jednym z przykładów prozy, której autor usiłuje w przekonujący sposób opisać świat przedstawiony i bohaterów, ale wkracza na mielizny niuansowości i tam udowadnia, że nad warsztatem musi jeszcze solidnie popracować. Wynika to przede wszystkim z faktu, że powieść jest nierówna, częściowo udatnie opisując rzeczywistość i zaszłości, w innych zaś partiach wprowadzając niepotrzebny zamęt i przeskokki czasowe, które mącą tok wyowiedzi, a w konsekwencji czynią intrygę nie tyle nieczytelną, co rozmąconą.

Bez wątpienia interesujący jest – mimo że dość ograny – motyw dysfunkcyjnej matki i wszelkie tego konsekwencje, wokół czego zbudowana została znaczna część historii oraz kluczowe kwestie związane z głównym bohaterem. Dobrze rozegrał autor kilka poziomów narracji – dodatkowo wyodrębnionych graficznie (i nie tylko to), co jednak może być zasługą wydawcy – w tym sensie, że gdyby były one spójniejsze, sprzyjałyby większemu zaangażowaniu w lekturę. Mimo tych starań, nie wystarczają one do skonstruowania spójnej relacji czy oczarowania czytelnika. Fragmenty zazębiające intrygę i wykładające znaczenie pewnych scen pojawiają się nieco zbyt późno, kiedy trudno już podtrzymać odbiorczą uwagę, co jest właśnie sygnałem niedopracowania, nie do dość dobrze opanowanego warsztatu. Jak powiedziano – niezły pomysł fabularny ulega rozwodnieniu, a przez to może stać dla czytelnika niezbyt ważny.

Dawka grozy, jaką serwuje czytelnikowi autor, jest dość sztampowa, nie wyróżnia się na tle wielu innych utworów tego typu. Co więcej, nie jest ona nawet w ułamku fascynująca, co powoduje, że postawić trzeba zasadnicze pytanie – a więc, czym autor chce, żeby była ta książka. Ma wrażenie, że tego namysłu tutaj zabrakło, że nie do końca przepracowano pomysł wyjściowy i zastanowiono się, w jaki sposób nawiązać z czytelnikiem grę, dialog czy uwzględnić jego oczekiwania względem powieści grozy.

W *T.T.* bardzo razi typowa dla pewnego siermiężnego sortu prozy polskiej brutalizacja języka. Nie służy on w moim przekonaniu roli estetycznego sztafażu, nie jest elementem stylizacji, lecz wydaje się prostolinijnym sposobem oddania specyfiki porozumiewania się a to młodych ludzi, a to znów tych mniej młodych, lecz znużonych egzystencją, a to znów osób ze społecznych nizin. To, że istnieje to w korelacji z perypetiami nauczyciela (obowiązkowo pokazanego jako życiowy nieudacznik, co wpisuje się w nadobecną w krajowej kulturze tendencję do ukazywania ludzi tego zawodu w poniżający sposób) świadczy o braku wyczucia i słabej artystycznej oryginalności.

Wszystkie wydarzenia ma spajać mozolnie odkrywana tajemnica, ale to właśnie ta mozolność wydaje się zdecydowanie uciążliwa i sprawia, że pojawia się wątpliwość dotycząca tego, czy autorowi aby na pewno na takim efekcie zależało. A skoro pojawia się wspomniana wątpliwość i niepewność co do słuszności obranej strategii kreatywnej i celowości artystycznego zamiaru, trudno wobec tego mówić o solidnej, budzącej refleksję (o grozie nie ma co wspominać) literaturze. To z kolei prowadzi do konkluzji, że nie wydaje się ta powieść – bez wątplenia jednak pisana przez mającego potencjał autora – pretendować do miana najlepszej w swojej konwencji.